Dodatek do Nr. 10 „Prawdy".

RODZINA

PISMO
POŚWIĘCONE WYCHOWANIU
I NAUCE DOMOWEJ.

Numer 5. Sobota, dnia 7-go Marca. Rok 1908

A. GENNEVRAYE.

ULICZNIK.

POWIEŚĆ Z FRANCUSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Trzy tygodnie upłynęło od czasu, jak sierżant po raz pierwszy przybył do szpitala, i lekarz zapewnił go, że za dni kilka Izydor będzie wypisany. Dziś już podnosił się z łóżka i próbował chodzić, a staremu wojakowi ściskało się serce na widok utykającego chłopczyny.

— Czy nie możesz chodzić prosto? — odezwał się raz nieśmiało.

— Nie, to mi ból sprawia.

Gaveau zwiesił głowę.

— Czy pan sądzi, że będzie kulał — spytał przechodzącego lekarza.

— Bardzo wątpię; taki młody...

— A czy będzie mógł wstąpić do wojska?

— Za jakie lat dziesięć ze złamania nie będzie ani śladu.

— Dziesięć lat! E! co znowu? ośm powinno wystarczyć! Ale co z nim zrobić tymczasem?

I wracając do domu, Gaveau powtarzał głośno:

— Co zrobić?

Postanowił zakołatać znowu do drzwi kapitana Daufina. Zastał go, jak zwykle, przy biurku.

— Przyszedłem zapytać pana kapitana — rzekł, prostując się po wojskowemu — czy zawsze cieszę się dobrą opinią w zakładzie?

— Naturalnie — odparł kapitan — jesteś, sierżancie, najpunktualniejszym i najzgodniejszym, jak zawsze.

— A zatem, czy mogę prosić o wyświadczenie mi małej przysługi?

— Jakiej? Może potrzebujesz zaliczki?

— Nie, panie kapitanie; chodzi mi o przyjęcie pewnego malca, o którym wspominałem już panu, do szkoły dzieci żołnierskich.

— Jeżeli nie jest synem żołnierza, nic z tego.

— Ależ, panie kapitanie, nie mogę przecież zostawić go na ulicy.

— A więc to jakiś włóczęga?

— Był nim, lecz póki ja żyję, nie powróci do tego rzemiosła! Spotkałem go przypadkiem, lecz przywiązałem się do niego i nie mógłbym dłużej żyć samotnie. Gdzie on — tam i ja! Jeżeli nie może być tu razem ze mną, to wolę opuścić zakład, niż się z nim rozłączyć.

— Hola! Gaveau, mój stary, co ty pleciesz? Opuścić Dom Inwalidów? a cóż się z tobą stanie?

— Nie wiem. Mam tylko krzyż i pensyę, co nie zaprowadzi nas daleko... E, panie kapitanie, miej litość nademną i nad moim chłopcem!

I stary wiarus wykrzywił się okropnie, aby powstrzymać łzy, spadające mu na siwe wąsy.

— No, no, no, uspokój się, sierżancie — rzekł kapitan, widocznie wzruszony. — Nie mogę patrzeć na łzy uczciwych ludzi. Kiedy już inaczej być nie może, przyprowadź chłopca; pomyślimy o nim.

W godzinę potem sierżant dążył do szpitala.

Izydor oczekiwał go z niecierpliwością. Był blady i tak osłabiony, że zaledwie zdołał zejść ze schodów.

— Odwagi — zachęcał Gaveau — oprzyj się na mnie mocno; odpoczniemy w drodze. Zaprowadzę cię do kapitana Daufina, który nam obiecał swoją pomoc.

Szli w milczeniu. W alejach Antin musieli się zatrzymać.

— Nie mogę iść dalej — rzekł chłopiec — muszę odpocząć.

— Jeszcze trochę — namawiał sierżant — dojdziemy do pól Elizejskich; tam znajdziemy ławkę.

— Kiedy nie mogę.. w głowie mi się kręci.

— Sapristi! co tu począć? Nie mogę cię wziąć na rękę; moja noga nie jest zbyt pewną.

I sierżant obejrzał się wokoło, szukając pomocy.

W tej chwili mijała ich jakaś dama. Spostrzegłszy zakłopotanie sierżanta i bladą, zmęczoną twarz dziecka, zatrzymała się.

— Co się stało? Mały jest widocznie chory?

— Tak, proszę pani — odparł sierżant — właśnie tylko co opuścił szpital.

— Dokąd idziecie?

— Do Inwalidów, ale widzę, że chłopiec nie zajdzie tak daleko.

— Poczekaj pan, znajdziemy na to sposób.

I skinawszy na stangreta, dodała:

— Mam swój powóz i odwiozę was po drodze do Inwalidów.

Sierżant wzruszony protestował, ale dama, nie dając mu przyjść do słowa, posadziła chłopca obok siebie, a wiarusowi wskazała miejsce na przodzie.

— Do Inwalidów! — zawołała na stangreta.

Powóz potoczył się szybko.

Przez drogę Gaveau opowiedział w krótkości dzieje swego protegowanego i wtajemniczył nieznajomą w plan umieszczenia Izydora w szkole dzieci żołnierskich.

Dama słuchała życzliwie, a kiedy doszło do spodziewanych trudności, odezwała się z uśmiechem:

— Jak to dobrze, że was spotkałam! Komendant Inwalidów jest moim dobrym znajomym, a jego żona bliską krewną; wstąpię do nich i pomówię z generałem.

V.
Słowo sierżanta Geveau.

Szczęście przechyliło się widocznie na stronę Izydora: młodej i pięknej damie, z takim słodkim i wdzięcznym głosem, generał nie będzie śmiał przecież odmówić.

Powóz — ku wielkiemu zdziwieniu mieszkańców — wjechał w podwórze domu Inwalidów. Przyjaciele sierżanta wytrzeszczyli oczy.

Gaveau w powozię zaprzężonym w parę pysznych koni!

— Do licha! najmniej sześć tysięcy para! — szacowali kawalerzyści, znający się na tem. — Ale skąd u dyabła wziął się tam Gaveau i ten malec biały, jak płótno?

— Zatrzymajcie się na dole — rzekła nieznajoma, skoro szwajcar oznajmił, że komendant jest w domu. — Jeżeli mi się powiedzie, zawiadomię was przez okno.

Gaveau pomógł wysiąść Izydorowi i posadziwszy go na ławce, przypatrywał się jego bladej i mizernej twarzy. Oczy chłopca wydawały się jeszcze większe i poważniejsze niż zwykle.

— Czy ci nie zimno, dziecko?

— Nie, panie sierżancie.

— A możeś ty głodny?

— Trochę.

Zapach smażonego mięsa zalatywał z kuchni.

— Jak tu ładnie! — rzekł chłopiec, rozglądając się wokoło.

Ale Gaveau nie odpowiadał. Nie spuszczał oczu z okien mieszkania komendanta i obmyślał w myśli czas potrzebny na powitanie, przedstawienie całej sprawy i wstawienie się dobroczynnej damy do generała.

— Niema co — myślał — nic z tego nie będzie; co tu począć? Nie mogę mu przecież powiedzieć: idź sobie szukać schronienia pod mostem!... Nigdy! wolałbym raczej żebrać, aby mu zapewnić kąt i strawę!... Nie udało się, generał widocznie odmówił.

I sierżant spuścił oczy, aby nie patrzeć w okna, z których żadne otworzyć się nie chciało. Naraz usłyszał szmer jakiś. Lufcik w gabinecie komendanta był otwarty, i ukazała się w nim szlachetna postać generała obok nieznajomej damy, która śmiejąc się, wskazywała palcem Izydora.

— Sierżancie! — zawołał generał — zabierz chłopca i staw się tutaj z nim razem.

Sierżant zadrżał ze wzruszenia.

— Chodź, dziecko... a jeżeli umiesz pacierz, nie zapomnij go odmówić.

Wstępując po wielkich marmurowych schodach, Gaveau układał sobie w myśli odpowiedzi i nauczał Izydora, jak się ma zachować. Służący wprowadził ich do generała.

Ujrzawszy generała, sierżant wyprostował się po wojskowemu i stanął przy drzwiach w oczekującej postawie.

— Pani de Talzak mówiła mi o twoim małym; czy ręczysz za jego uczciwość? Zdaję się na twoje słowo.

Sierżant zbladł. Generał żąda jego słowa! On, sierżant Gaveau, ma odpowiadać za malca, którego zna od miesiąca.

— I cóż, sierżancie? Czekam...

Gaveau spogląda na Izydora, a cierpiąca twarz dziecka chwyta go za serce. Jeżeli odpowie przecząco, chłopca oczekuje głód, zimno... Nie, nie!

— Ręczę za niego — odpowiada głośno.

— A zatem przyjmuję go za grooma. Będzie mi towarzyszył, kiedy wyjeżdżam, i pełnił niektóre posługi w domu. Uprzedzam cię jednak, sierżancie, że jeżeli okaże się ladaco, trzymać go nie będę.

— Czy jesteś pani zadowoloną? — pyta, zwracając się do młodej kobiety.

Pani de Talzak odpowiada serdecznem uściśnieniem ręki.

— A ty, sierżancie?

Gaveau, nie znajdując odpowiedzi, prostuje się jak struna i lekko stuka nogą o posadzkę.

— No, no, dobrze, rozumiem, widzę, żeś zadowolony — zaśmiał się generał. — Zaprowadź go teraz do kuchni i poleć Dominikowi. Do widzenia!

Znaczyło to, że mogli się oddalić.

Weteran skłonił się po wojskowemu i ująwszy chłopca za rękę, zaprowadził do małego ogródka, który utrzymywał dość starannie.

Ale Gaveau milczał nachmurzony.

Odpowiedzialność, jaką wziął na siebie wobec generała, wydała mu się nagle zbyt ciężką. Ręczyć za chłopca, który nie miał rodziców i wychował się na ulicy! ... Do licha! sierżant wolałby sam jeden rzucić się na cały pułk nieprzyjaciół! Bo któż może ręczyć za przyszłość? Co będzie, jeśli Izydor nie odpowie oczekiwaniom? Na samą myśl o tem przejmowała go zgroza. Jego słowo! Słowo sierżanta Gaveau, oddane na pastwę lekkomyślności, a może i złych wszystkich ulicznikόw! Uf! ciężkiem wydało mu się to brzemię..

Odwrócił się machinalnie i spojrzał na Izydora.

Malec siedział, rozglądając się z widoczną przyjemnością w nowem dla siebie otoczeniu.

Sierżant westchnął.

— Cóż, czy jesteś zadowolony? — spytał.

— Tak, panie sierżancie.

— Spotkało cię wielkie szczęście; nie tak to łatwo dostać się do służby do generała.

— A co ja tam będę robił?

— Będziesz spełniał polecenia generała; słyszałeś przecież.

— Tego się nie lękam, znam dobrze Paryż.

— Obok tego będziesz miał inne jeszcze obowiązki, każą ci zapewne czyścić buty..

— Tego nie umiem.

— Et, głupstwo, pokażę ci, jak się to robi: bierze się but na rękę i trze się mocno szczotką aż do glansu; jeżeli jest szuwaks, to tem lepiej.

— I co jeszcze?

— Będziesz zamiatał i sprzątał pokoje.. Przytem trzeba być posłusznym, słuchać kamerdynera, stangreta, kucharza...

— Jak to, więc mam służyć wszystkim?

— Ależ nie! służyć będziesz tylko generałowi.

— A czy będę mógł wychodzić na spacer?

— Na spacer?... Hm, nie wiem... Zapewne... skoro generał pośle cię za jakim interesem... A i wtedy nie trzeba się włóczyć bez celu, lecz wracać prędko do domu. Może się także zdarzyć, że otrzymasz pieniądze na zapłacenie jakiego rachunku.... Izydorze, pamiętaj się pilnować... Bo widzisz, moje dziecko, cudze pieniądze to świętość; lepiej kark skręcić, niż przynieść jedno su za mało.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odezwa do wzrastających dziewcząt
za mową ojczystą.

Serce miłością Ojczyzny przejęte, serce zagrzane chęcią rozszerzenia narodowej sławy, odzywa się do Was słabym i niewymownym głosem. Obym mogła wlać w dusze wasze szlachetny ku narodowości zapał, obym mogła napoić młodociany wasz umysł tem przekonaniem, że wy podnieść język polski możecie. Tak! lubo teraz małe i nic prawie nie znaczące, w was spoczywa ta słodka nadzieja, wy za lat kilkanaście chlubą narodu zostać możecie. Już bowiem dla niewiast dojrzałych, które od pieluch obcym mówią językiem, które nawykły w nim wszystkie myśli i uczucia wyrażać, już dla nich trudno nabyć pożądanej w mowie ojczystej biegłości. Polki w sercu uznają ten błąd, boleją nad nim, poprawiłyby się rade, ale już za późno. Lecz dla was, lube dziewczęta, które dopiero wstępujecie w zawód życia, któreście jeszcze czasu nie miały nawyknąć na zawsze do czego, dla was wszystko jest łatwem, wszystko jest podobnem. Umysł wasz giętki, jak młode drzewko, na każdą stronę nachylić jeszcze można. Korzystajcie z tak pomyślnej pory, ćwiczcie się w mowie ojczystej, przełóżcie ją nad inne. Ten wasz postępek, wielkie skutki za sobą pociągnie. Wy za lat kilkanaście żonami, matkami będziecie; wpoicie w córki własne uczucia i zdania, i zgubny przesąd przetnie się na was. zakończy się na dzisiejszem pokoleniu; od was się ustali prawdziwych Polek pasmo, od was powstanie epoka nowego mowy ojczystej odrodzenia. – Ach! dajcież tej drogiej ziemi, na której każda z was się rodziła, która was żywi i nosi, dajcież jej ten dowód przywiązania. Łatwo wam przyjdzie, a na całe życie zabezpieczycie sobie słodką pociechę i chlubę. Proście usilnie Rodziców, Opiekunów waszych, niech was każą uczyć gruntownie po polsku. Modlitwy, wypisy, treści, dzienniki, listy, piosnki, niechaj będą w ojczystej mowie. Z ojcem, z braćmi, z przyjaciółkami waszemi, mówcie po polsku, strzeżcie się pilnie mieszania słów i wyrażeń obcych. Teraz, kiedy jeszcze dla młodości waszej w żadnej mowie wysłowić się dokładnie nie umiecie, wprawiajcie się w ojczystą, a za lat kilka i ustnie i na piśmie gładko i czysto tłumaczyć się w niej będziecie. Bo miałożby Niebo dać Polkom tkliwość i dowcip, a nie użyczyć im mowy, w którejby te dary wyrazić mogły? Nie! tak niesprawiedliwem nie było! pięknym, bogatym, słodkim jest nasz język, lecz ktokolwiek nim w młodości wzgardzi, przed tym on na zawsze skarby swoje zamyka, gdyż według słów Mędrca: „W jaką drogę młodzieniec się puści, takiej choćby się starał, odstąpić nie zdoła.

Z pism Klem. Tańskiej.

Znajdźcie więcej czasu dla dzieci.

Rodzice kochają swe dzieci, starają się o nie, oszczędzają i pracują od świtu do zmroku, byle tylko zabezpieczyć im wolną od trosk przyszłość, ale wśród tych właśnie ustawicznych trosk nie mogą poświęcić im ani chwili czasu. Rodzice mają po największej części tylko przyszłość swych dzieci na oku, z całych sił starają się przeto uświetnić ją im — lecz zapominają przytem o teraźniejszości, o jak najkorzystniejszem jej wyzyskaniu i upiększeniu.

Jeżeli wiosna w naturze jest mało słoneczną, gdy burze lub zimna już w samym kwiecie roślinkę zniszczą lub zmrożą — nie dopuszczając do niej czasami chociaż łagodnego zefirka majowego — wówczas próżna będzie nadzieja, że gorące lato, lub ciepła jesień powetuje jej ten brak słońca w chwilach jej rozkwitu — i nadaremne będą oczekiwania bogatego żniwa. Czyż nie tak samo dzieje się w życiu ludzkiem?

Gdy wiosna życia, młodość zaćmiona jest w samem jeszcze zaraniu chwilami czarnemi, troskami, wówczas cień ich całe życie już kroczy za człowiekiem i niczem już nie da się zatrzeć. Takiemu człowiekowi jest później zawsze brak tych drogich chwil, tych szczęśliwych wspomnień, w które młodość bez trosk zawsze obfituje, a które to wspomnienia są zawsze żywemi kwiatami wśród ciernistej drogi naszego żywota.

O matki! nie usprawiedliwiajcie się, że czasu nie macie na to, by go poświęcać pogawędce lub zabawie z waszemi dziećmi. Pamiętajcie zawsze, że wasza miłość ma być jak promień słoneczny — jasny — który wszystkich rozjaśnia i rozwesela, pociesza i wzmacnia. Ta jasność najpotrzebniejszą jest dla waszych dzieci. Pamiętajcie, że każda łza, którą osuszycie, każda mała niespodzianka, jaką uczynicie, każde słowo zachęty, lub uznania, każda wolna chwila z dziećmi waszemi i dla ich dobra spędzona będzie wam kiedyś wynagrodzoną. Miłość wydaje miłość — macierzyńskie przywiązanie i prawdziwe czucie przyniesie piękne owoce — a macierzyńskie łzy i prośby, chociaż po latach, al zawsze będą wysłuchane.

Kiedyś w starości waszej przekonacie się, żeście dobrze działały, chcąc być „wszystkiem" dla dzieci, a jeśli was zrani kiedy rozczarowanie, wówczas możecie sobie przyznać, że miłość, którą w słowach i czynach przelałyście na wasze dzieci — nietylko im, ale i wam była słonecznym promieniem i szczęściem.

PRAKTYCZNE RADY.

Marynowane śledzie.

Moczyć przez 36 godzin śledzie, potem wyprawić je, osuszyć, ułożyć w słoju, przesypać korzeniami, cebulą i zalać octem przestudzonym, przegotowanym z kilku grupkami cukru. Można też mlecz od śledzi usiekać, przetrzeć przez sitko, umięszać z oliwą, rozprowadzić octem i zalać tem śledzie

Rolada ze śledzi.

Śledzie moczą się 48 godzin, zmieniając wodę rano i wieczór, potem odciąć głowy i ogony, rozpołowić śledzie, wyjąć ości i nałożyć farszem następującym: Usiekać drobno jabłek i cebuli, zmięszać z tłuczonemi korzeniami i nałożyć śledzie, zwiać je w rolkę, przewiązać grubą nitką, ułożyć w słoju, przesypując korzeniami i kawałkami bobkowego liścia, poczem zalać octem, przegotowanym i wystudzonym i zawiązać papierem.

Śledzie w oliwie.

Wymoczyć śledzie wyżej podanym sposobem, zalać je na 24 godzin przegotowanym i wystudzonym octem, następnie wyjąć z octu, ociągnąć z skóry i układać w garnek, przesypując każdą warstwę, grubo tłuczonym pieprzem, łamanemi bobkowemi liśćmi, w talerzyki krajaną cebulą, którą się poprzednio parzy i nalewa octem. Tak przyrządzone śledzie zalać świeżą oliwą, żeby je zupełnie przykryła.

Śledzie marynowane na sposób minogów.

Śledzie moczyć przez 24 godzin, nastepnie pościnać im głowy, uwiązać za ogon nitką i powiesić je na 12 godzin, żeby oschły z wody. Wlać na patelnię świeżej oliwy i obsmażyć je lekko na obu stronach, ułożyć na salaterkę, przesypać korzeniami tłuczonemi, przełożyć plasterkami cytryny i zalać przegotowanym wystudzonym octem, dodając oliwę z patelni.

Rozmaitości.

* **Wypiekanie chleba** z mielonej mąki z dodatkiem wody, oleju, soli i korzeni, sięga najodleglejszych starożytności. Jeszcze w dolinie Mambre w Hebron, gdy trzej mężowie przybyli do Abrahama, kazał tenże żonie swej Sarze rozczynić trzy miski świątlej mąki i naczynić podpłomyków. Asyryjczycy i Egipcyanie używali także takiego chleba do potraw codziennych; w Grecyi wypiekano również podobne ciasto, lecz wszystko to było chlebem przaśnym, nie fermentowanym, a zatem nie zaczyniane na kwasocie czyli drożdżach. Chleb fermentowany i sposób jego wyrobu odkrył dopiero pewien niewolnik w Atenach, a odkrycie przeszło bez zmiany do potomności aż do najnowszych czasów. Jak podanie niesie zostawił on raz w naczyniu glinianem nieco ciasta pszenicznego. Po kilku dniach idąc znowu zaczyniać na świeży chleb, spostrzegł skutki niedbałości swojej, albowiem naczynie zakwaśniało zupełnie; czemprędzej więc zaczął je oszyszczać, wtem usłyszał kroki swego pana, a lękając się nieuchronnej kary, postanowił ukryć winę i wsypał do zakwaszonej dzieży przeznaczoną mąkę, zarobiwszy ją jak zwykle. Wkrótce z zadziwieniem ujrzał podnoszące się ciasto. Nieodgadując bynajmniej przyczyny, upiekł chleb i lękliwie podał panu. Ten ocenił przypadkowy wynalazek. Zachwycony pysznem pieczywem, zaprosił przyjaciół do kosztowania specyału, a niewolnik musiał zdradzić tajemnicę cudowną, która w Atenach rozpowszechniła się szybko, przysparzając pieczywom ateńskim niezwykłego rozgłosu. Niedługo potem Rzymianie nauczyli się tego sekretu od Greków, tak że już za czasów Liwiusza znanem było w Rzymie wypiekanie chleba, który stąd rozpowszechniony, uznany został odtąd u wszystkich narodów za niezbędny artykuł pożywienia. Do nas doświadczenie ateńskie przybyło dość późno.

* **Skarga jabłonki.** Ile ja się napłakałam, łez wylałam co niemiara! Tak biadała w wiejskim sadzie jabłoń pewna niezbyt stara.

Traf zrządził, że przechodząc, podsłuchałem te jej żale, przystanąłem więc ciekawy — nuż od smutku ją ocalę? I ukryty za pniem drzewa, tam gdzie trawnik ogrodowy, zasłuchany w szelest liści, zrozumiałem treść rozmowy i do głębi poruszony słusznej skargi jej słowami, ze wszystkiego, co słyszałem, wyspowiadam się przed wami.

— Co rok — szepce jabłoń dalej — gdy mnie wiosna ze snu budzi, witam bielą mego kwiecia słońce, świat, przyrodę, ludzi. Witam wszystkich radośnie, mnóstwem kwiecia zapowiadam, jak obfity plon przyniosę, ile jabłek podaruję. Przyjdzie jesień pod ciężarem jabłek gną mi się konary i zachwyca się mną każdy przechodzący: młody, stary.

— Aż nadejdzie wielka chwila. Już jabłuszka, jak z obrazka, że aż ślinka na nie leci i językiem każdy mlaska, mogę oddać ludzkiej rzeszy, jako pokarm smaczny, zdrowy i na jadło gotowane i na wino lub surowy.

Przyszli ludzie w długich butach, po gałęziach pną się w górę, tu obłamią mi gałązkę, tam obcasem zedrą skórę! A konary po kolei bez litości tak wstrząsają, że jabłuszka, jak grad lecą i na ziemię upadają. A ja biedna, co przez lato wszystkie soki w nie wlewałem, wykarmiłam je krwią własną, od dżdżu, słońca osłaniałam, muszę patrzeć, jak strącane bezlitosną szarpaniną, potłuczone i pobite moje jabłka w worku giną. Że ja potem tracę liście, że się rany potworzyły od gałązek oberwanych, co za rokby już rodziły, że drąc korę, łamiąc pędy, przyczyniają wiele złego, sami sobie szkodę robią — im tam przecie nic do tego!

Gdzie jest wdzięczność, gdzie uznanie? zasług moich nikt nie ceni!...

Czyż kultura i oświata tego nigdy nie odmieni?!

Stanisław Dłuski.

Rozwiązanie zagadki z Nr. 4 „Rodziny".

TOR - NI - STER.

Rozwiązanie nadesłali: Józef Motej z Godulahutta, Paweł Gomolec z Bottropu, Franciszek Konieczny z Hajduk.

Nakładem redakcyi „Prawdy", Kraków. — Czcionkami „Katolika", spółki wyd. z ogr. odp., Bytom.